

PIOTR DUMAŁA

LAS

SCENARIUSZ 75-MIN. FILMU FABULARNEGO Z ELEMENTAMI ANIMACJI

Las zaciera ślady. Las tworzy nowe ślady. Las się pojawia i znika. Drzewa są przezroczyste. Światło porusza ukryty, rentgenowski mechanizm. Przebiega mała, szara jaszczurka, natrafia na pień i wspina się szybko po chropowatej korze. Okrągłe oczy oświetlają jej drogę.

Grube i proste buki, sosny, brzozy. Między pniami krzyżujące się po wielokroć, złudne perspektywy. W dole płynie rzeka, toruje sobie drogę tam, gdzie las jest najgęstszy. Woda bulgocze omijając zwalone pnie. Lekka pajęczyna mgły zawisała na krzakach malin i jałowców niczym faktura dagerotypu.

Młodszy z mężczyzn miał lat około czterdziestu. Starszy pewnie z osiemdziesiąt. Można by wziąć ich za ojca z synem. Szli przez las nieprędko, niepowoli, blisko siebie, ale nie dotykając się. Nie byli z lasu, lecz znali go dobrze. Omijali gałęzie, które mogłyby zadrapać twarz. Przeskakiwali wykroty i zwalone drzewa pokryte śliskim mchem. Czasami młodszy zatrzymywał się, by pomóc staremu, ten zaś wskazywał drogę. To wynurzali się z mgły, to znikali w niej. Ziemia chrzęściła pod ich stopami.

Z ich ust wydobywały się obłoczki oddechów, bo poranek był rześki. Czy poranek? Czas, jeśli wyraża się on poprzez światło, zdawał się trwać w bezruchu, a jeśli już płynąć, to wolniej niż zwykle lub w poprzecznym kierunku, dzięki czemu chwile ciągnęły się nieskończenie długo wszcz, za to wzdłuż prawie wcale.

Zatrzymali się w pobliżu potężnego drzewa. Starzec przypatrywał się korze i głaskał ją dłonią jak stolarz przed przystąpieniem do pracy. Niemniej zdawał się raczej zbierać myśli niż rozmyślać o drzewie. Twarze ich obu były ogolone, choć niezbyt dokładnie. Starzec miał łysą czaszkę, przez którą biegła poprzeczna blizna. Postać jego była niewielka, ciało zapewne dość mocne, co widać było po dłoniach i mięsistej szyi. Jego towarzysz - chudy i wysoki, łysiejący, o kobiecych rysach twarzy obserwował go z wyrazem oczekiwania. Ponad nimi przywarta do gałęzi oddychała jaszczurka.

Przystanek przeciągał się i młodszy z mężczyzn zaczął zdradzać zniecierpliwienie. Wreszcie ruszył z miejsca, ale stary chwycił go mocno za przegub ręki. Nastąpiła szybka, bezsłowna wymiana spojrzeń. Młodszy

chciał się wyrwać, lecz stary uderzył go nagle otwartą dłonią w ucho i zmusił przez to do uległości. Słychać było z dali głos burzy. Obaj unieśli głowy.

Andrzej zanurzył gąbkę w misce z ciepłą wodą. Ojciec siedział na krześle obnażony do pasa. Nogi okryte miał kocem. Jego ciało, zupełnie pozbawione siły mięśni chwiało się i przechylało do przodu, i Andrzej musiał powstrzymać je przed upadkiem. Głowa starca zwieszała się bezwładnie. Oczy były zamknięte niczym u pogrążonego w letargu. Siwa czupryna wyglądała jak potargana wiatrem.

Lekko namydlona gąbka rozpoczęła swą wędrówkę przemierzając barki chorego, szyję, białe ramiona, pokryta siwymi włosami pierś i bezwładne, niewielkie dłonie.

- Spróbuj siedzieć prosto, na pewno potrafisz - rzekł Andrzej. - Otwórz oczy. Tato...

Ojciec nie reagował. Andrzej odstawił w końcu miskę. Wytarł mokre ciało ojca ręcznikiem i nabalsamował kremem. Wklepał w plecy spirytus z małego flakonika. Potem opasał ramiona siedzącego szerokim, miękkim szalikiem, który związał za oparciem krzesła. Pochylił się nad rozgrzebanym łóżkiem i poprawił prześcieradło oraz poduszkę. Położył na środku okrag z gąbki umieszczony w poszewce. Odwiązał szalik, odkrył gołe nogi ojca z koca, chwycił go za ramiona i oparł o siebie.

- Chwyć mnie mocno.

Starzec przywarł do niego jak dziecko i pozwolił się przenieść na łóżko. Syn ułożył go dokładnie, przesmarował biodra i pośladki maścią na odleżyny, założył czystą pieluchę. Przykrył go kołdrą i podsunął pod głowę jasiek.

- Tak dobrze?

Lekkie skinienie głowy i pomruk zamkniętych ust na „tak”.

- Idę przygotować ci śniadanie.

Andrzej zabrał miskę z wodą i drugą, wyjętą z wnęki w krześle, z odrobiną moczu. Sprawdził, czy grzeje piec i wyszedł z pokoju. Starzec leżał

nieruchomo. Oddychał cicho jakby spał. Jego powieki były zaczerwienione i opuchnięte. Mała, zielona roślina na parapecie patrzyła w niebo. Za oknem rośło wielkie drzewo, pojawiły się już na nim pierwsze liście spóźnionej wiosny.

Starszy mężczyzna szedł teraz pierwszy. Trzymał w ręku sękaty kij, którym posługiwał się jak ślepiec, macając przed sobą teren. Uderzał czasem w pień drzewa lub rozchyłał liście krzewów. Szedł dość szybko i z dużą pewnością siebie, a wysoki jego towarzysz, patrząc uważnie dookoła podążał dwa kroki za nim. Las stawał się coraz gęstszy a gałęzie drzew sięgały nieraz do ziemi. Starzec zmieniał czasami kierunek, nigdy jednak nie zawracał. Szedł teraz wolniej i ostrożniej. Jeszcze wolniej, jeszcze ostrożniej i ciszej. Wreszcie zatrzymał się. Idący z tyłu też.

Przed nimi polana. Trudno powiedzieć jak wielka, bo zasnuta mgłą. Na jej tle suche liście na gałęzi młodego dębu wyglądały jak blaszane ozdoby. W trawie drzemał zwinięty w spirale ogromny, szary wąż. Głowę opierał na wypolerowanych zwojach własnego cielska. Z końcówki jego ogona sterczała niewielka płetwa niczym wpół rozpostarty wachlarz.

Stary patrzył nań ze spokojem jak na coś dobrze znajomego. Młodszy mężczyzna wydawał się być przestraszony i gotów do walki o swe życie. Oddał się fantazji, w której staczał zwycięski bój z wężem-smokiem, zacisnął zęby i pięści, widząc już siebie odrabującego smoczy łeb i ćwiartującego cielsko. Na szyi czuł uścisk własnego lęku. Wąż przemieścił nieznacznie głowę i nadal spał. Albo udawał, że śpi.

- Śpisz? - zapytał Andrzej wchodząc do pokoju.
- Trochę śpię, trochę czytam - odrzekł starzec nie otwierając oczu.
- Co czytasz?
- To wszystko, co tam napisane. Na przykład na piecu.
- Co jest napisane?
- Przeczytaj sobie.
- Ja tego nie widzę.
- Nic ważnego, coś o boksie. Możesz sobie darować.

Las zastygł w bezruchu. Światło przenikało poprzez mgłę. Cienkie gałązki, na wpół przezroczyste, niczym z lodu wydzielaly lekką poświatę. Czubkami drzew kołysał wiatr, lecz tutaj, gdzie stali mężczyźni, patrzący na węża, panował spokój, jak w głębinie morza. Gdzieś w pobliżu słysząc było szum strumienia.

Gad leżał skulony i wydawał się być mniejszy, niż gdy go ujrzeni. Starzec tracił go kijem. Wąż uniósł łeb.

Andrzej odłożył ręcznik, kończąc wieczorny rytuał mycia ojca. Zabrał go z krzesła na łóżko. W misce pozostało trochę moczu i zwinięte spiralnie ciemnobrązowe gówno. Andrzej wyniósł naczynie, pozostawiając ojca nagiego na łóżku. Starzec leżał bez ruchu z lekko podkulonymi nogami. Oczy miał jak zawsze zamknięte. Słysząc było odgłos spuszczonej wody w klozecie. Po chwili syn wrócił niosąc inną miskę wypełnioną ciepłą wodą. Postawił ją na stołku przy łóżku i starannie umył ojcu odbyt i genitalia. Potem założył mu pieluchę, a na grzbiet koszulę i przykrył go kołdrą. Wyszedł gasząc światło.

- Jędek! - zawołał za nim cicho starzec, a gdy syn przybliżył swoją twarz do jego twarzy dodał - Daj mi pić.
- Przecież piłeś całkiem niedawno mleko i herbatę. Śpij już.
- Nie masz trochę wina? - szepnął ojciec nie biorąc pod uwagę tej odpowiedzi i uśmiechnął się niewinnie.

Andrzej też się uśmiechnął jakby zawarł w tym momencie z ojcem jakieś męskie przymierze.

Ciało węża z odrąbaną głową leżało rozciągnięte na polanie, długie, połyskujące w mroku. Starzec wytarł o trawę potężny nóż podobny do miecza. Wysoki mężczyzna stał cofnięty i dotykał jedną ręką pnia drzewa za swymi plecami. Stary odłożył nóż i wydobył inny, mniejszy i bardzo wyostrzony. W jego kształcie było pewne podobieństwo do płetwy na końcu węzowego ciała, które teraz zostało rozplatane jak na stole operacyjnym. Kilka następnych ruchów noża wykroiło zeń z dziesięć wąskich pasów mięsa. Wydawało się ono być twarde jak napięty mięsień.

Młodszy mężczyzna patrzył z odrazą, ale i rodzajem zachwyty na te niemalże rytualne czynności. Stary owinał po kolei każdy z kawałków mięsa

w duży liść i włożył je wszystkie do skórzanej torby. Skinął bez słowa na towarzysza, który musiał przemóc lęk i uchwyciwszy ciało węża za cienki koniec pociągnął je za sobą w gęstwinę. Po minucie dał się słyszeć plusk wody. Starzec podszedł do węzowej głowy. Podniósł ją ostrożnie, zamachnął się i cisnął we mgłę. Zniknęła w niej bezgłośnie.

Ojciec powolnymi ruchami szczęk przeżywał podawaną na łyżce zupę. Czasami przestawał i wydawało się, że zasypiał. Andrzej znał już jego różne nastroje i po cierpliwym odczekaniu chwili potrząsał nim lekko budząc do kolejnej łyżki zupy. Starzec wyglądał na człowieka śmiertelnie zmęczonego, nie tyle chorobą, co długim życiem, który przestał wreszcie podejmować jakiegokolwiek wysiłki.

Karmienie go trwało więcej niż pół godziny i Andrzej musiał w trakcie podgrzewać zupę. Dlatego też nie przelewał jej na talerz, lecz podawał ojcu prosto z małego garczka. Kiedy wracał z kuchni, starzec oczekiwał go niecierpliwie, dopiero jedzenie działało na niego usypiająco.

Był wieczór. Po nakarmieniu ojca Andrzej poszedł zrobić sobie kolację. W całym mieszkaniu zapadał szybko zmrok. Andrzej jadł nie śpiesząc się opieczone na kuchennej blasze kromki chleba z masłem i wędzonym serem i popijał bulionem. Nie zapalał światła.

Mężczyźni ciągnęli przez las pnie drzew zwalonych wiatrem. Najpierw ogoławali je nożami z cieńszych gałęzi, by były łatwiejsze w transporcie. Wybierali pnie proste, przeważnie brzozy lub sosny. Ściągali drewno w milczeniu i zapamiętaniu, potykając się nieraz i upadając. Zrzucali je w jedno miejsce na gołym pagórku, z którego widać było płynącą w dole rzekę.

Stary wyraźnie kierował. Czasami uderzał młodszego po plecach pierwszą lepszą gałęzią, by przyspieszyć jego prace albo pokazać mu, co ma robić. Sam też nie próżnował, ukazując siłę i sprawność niezwykłą dla kogoś w tym wieku. Na pewno nie był okrutny, lecz przyzwyczajony do skutecznego sprawowania władzy.

Młodszy mężczyzna wydawał się znosić to w pokorze. Może było mu tak wygodniej - nie brać odpowiedzialności za ich wspólne życie w lesie, a może nie przejmował się, gdyż przebywał myślami gdzieś w swoim świecie, we wspomnieniach lub fantazjach. Podczas ich wędrówki zatrzymywał się nieraz i wpatrywał w ziemię, we własne ślady, a potem odwracał się za

siebie, jakby starając się zapamiętać drogę powrotną. Starzec zauważał to, ale nie wtrącał się. Patrzył w ślad za jego wzrokiem, w dal leśną, z której nadeszli, a potem powtarzał swój rytuał. Dotykał dłonią któregoś z wysokich drzew, opierał podbródek o szorstką lub gładką korę i mrużąc oczy, patrzył w górę na chwiejące się korony albo w niebo ponad nimi.

Kiedy zgromadzili na polance dostateczną ilość pni, usiedli na jednym, by odpocząć. Starzec zaczął układać przed sobą na ziemi coś jakby model konstrukcji domu z małych patyczków, a potem ostrzyć nóż wyjętą z zanadrza osetką. A gdy skończył, położył go na trawie i wrócił do ustawiania swej miniaturowej budowli.

Młodszy przyglądał się temu, lecz wkrótce odwrócił głowę i popatrzył w stronę rzeki z dziwną tęsknotą. Zdawało się, że otarł ukradkiem łzę. Wstał i zszedł nad rzekę. Usiadł na kamieniu. Zanurzył dłonie w wodzie i obmył sobie twarz. Pozostał tak jeszcze patrząc jak strumień bulgocze wśród głazów i zatopionych gałęzi. Znowu popłynęła mu łza, której już nie ocierał. Opuścił głowę i zaczął głęboko szlochać.

- Co robisz? - zapytał Andrzej.

Ojciec nie poruszył się ani nie uchylił powiek.

- Czytasz?
- Nie przeszkadzaj mi - odrzekł ojciec i po chwili dodał - Czytam po chińsku. Nie rozumiałbyś.
- Czy chcesz pić?
- Nie chce. Dziękuję ci i do widzenia.

Andrzej roześmiał się trochę nieszczerze. Zgasił lampkę w pokoju ojca i wyszedł. Położył się w ubraniu na sofie. Przymknął oczy i prawie natychmiast zasnął. Wiatr szarpał gałęziami za oknem. W świetle latarni zaczął deszcz. Było po jedenastej.

Andrzej przyśnił, że biegnie szybko przez pole w kierunku lasu. Zapada się czasem w miękką ziemię, to znów grzęźnie w stosach porzuconych, ściętych gałęzi. Przeskakuje przez rów z wodą i widzi ojca, który zarzuca właśnie wędkę. Na widok Andrzeja chce ruszyć ku niemu, ale żyłka z haczykiem zaplątuje mu się w krzakach i ojciec zostaje...

Andrzej obudził się z drzemki. Wskazówka zegara przesunęła się o ponad godzinę. Andrzej wstrząsnął się z chłodu. Wstał i zbliżył się do okna. Patrząc przez długą chwilę na deszcz, ale też, jakby nasłuchując w stronę pokoju

ojca. Potem powędrował do łazienki. Rozebrał się i nalał do miski gorącej wody z bojlera. Umył twarz i ramiona. Znowu zastygł w nasłuchiowaniu. Jego ruchy były coraz szybsze i bardziej nerwowe. Umył nogi, potem zaczął myć zęby, pospiesznie szorował je kalecząc sobie dziąsła. Wypłut białą pianę z krwią. Przeplukał usta i gwałtownie wybiegł z łazienki.

Ojciec w ciemności rozświetlonej latarnią zza okna leżał w zupełnie nienaturalnej pozycji. Właściwie wisiał wczepiony w brzeg łóżka niczym kot. Jego twarz o oczach wciąż zamkniętych, okazująca niehumanitarny wysiłek, zwrócona była rozpaczliwie w stronę drzwi. Andrzej rzucił się ku ojcu i w jednej chwili porwał go w górę obiema rękami jak dziecko. Usiadł z nim na łóżku. Wtuleni w siebie mocno, zastygli na chwilę długą niczym wieczność.

Stary mężczyzna skończył budować miniaturowy dom z patyków. Chwilę później przyłożył do niego ogień. Płomienie chwyciły go szybko i ogarnęły ustawione w stożek gałęzie. Gdy ogień się umocnił, starzec dołożył do niego kilka grubszych kawałków drewna. Ognisko płonęło równo, niezbyt wysoko. Mężczyzna wydobył z torby mięso węża owinięte w liście. Zaczął je przypiekać. Skwierczało od żaru, a liście wydzielały biały, wilgotny dym. Gdy uznał jedzenie za gotowe, podał je towarzyszowi. Ten miał w zawiniątku trochę soli. Odcinali wąskie paski mięsa ostrymi nożami i żuli je wraz ze spopielałymi resztkami liści.

Starzec był mistrzem ceremonii, młodszy mężczyzna jego gościem. Po zjedzeniu trzech kawałków zaczął już odmawiać, ale stary wmusił w niego jeszcze cztery porcje. Sam zjadł najwyżej trzy.

Andrzej układał drewno w piecu. Było tam jeszcze trochę żaru i sporo popiołu. Na wierzchu położył kilka bryłek węgla. Wsunął pod spód zwinięty papier. Zaczął dmuchać w gorący popiół i wreszcie gazeta zatliła się, a potem strzeliła płomieniem, który ogarnął drewno i węgiel. Andrzej przez chwilę patrzył na ogień, a potem przymknął drzwiczki pieca.

Dwaj leśni wędrowcy siedzieli przy ognisku. Była noc. Ponad drzewami iskrzyły się gwiazdy. Starzec ukradkiem obserwował młodszego, któremu kleiły się już oczy.

Andrzej siedział w mrocznym pokoju przy śpiącym ojcu. Ogień błyskał w szparze drzwiczek pieca. Andrzej trzymał rękę na dłoni ojca. Patrzył na jego twarz.

Starzec siedział przy śpiącym towarzyszku w ciemnym lesie. Ognisko dogasało, więc dołożył jeszcze jedno polano. Nie spuszczał oczu ze śpiącego, który uśmiechał się przez sen. W pewnej chwili pochylił się na nim i chwycił lewą ręką za jego szczękę, odginając mu głowę mocno do tyłu. Prawa ręka uniosła się, ściskając nóż. Mordowany zbudził się i popatrzył w oczy starca. Był uległy. Przeniósł wzrok na szczyty drzew i dalekie gwiazdy.

- Mamo... - wyszeptał ni to błagając jej pomocy, ni żegnając się z nią.

Stary jednym ciosem wbił nóż głęboko w jego serce.

Ojciec otworzył szeroko oczy patrząc na Andrzeja, który zasnął na krześle przy jego łóżku.

Starzec klęczał nad przepływającą wodą strumienia. Padał na niego blask księżyca. Zwilżał twarz i oskrobywał ją nożem z zarostu. Oplukiwał nóż i policzki, powtarzając czynność wielokrotnie.

Andrzej rozbudzony patrzył ze zdumieniem w przytomne i niesłychanie intensywne oczy ojca.

Starzec stał naprzeciw czworokątnego stosu ułożonego z belek. Na jego szczycie, na platformie usłanej gałęziami leżał trup.

Wciąż trwała noc. Lekki wiatr szumiał gałęziami na wierzchołkach drzew. Ich grube, proste pnie stały nieporuszone, choć czasem ciężkie skrzypienie świadczyło o lekkim kołysaniu się któregoś z nich. Starzec wsłuchiwał się w szum wiatru i płynącej w dole rzeki. Za jego plecami dopalało się ognisko.

Przeniósł z niego ogień i przyłożył do chrustu, jaki zgromadził pod rusztowaniem z belek. Przyglądał się z uwagą, jak ogień ogarnia stopniowo wyższe kondygnacje stropu, a wreszcie ciało zamordowanego. Oświetlony ogniem dym unosił się chmura w niebo.

Andrzej podszedł do pustego łóżka. Zabrano z niego kołdrę, pozostała tylko poduszka, wgnieciona na środku przez głowę zmarłego ojca. Prześcieradło było wygładzone jak obrus. Andrzej złapał za jeden z jego końców i ściągnął, odsłaniając grubą, nieheblowaną dechę. Patrzył na jej szorstką, zadrzystą powierzchnię, a potem położył się na niej na wznak. Zamknął oczy.

Wciąż widział tę chropawą płaszczyznę, ciągnęła się w nieskończoność jak pole. Po prawej stronie wyłonił się pas zaoranej ziemi, obrzeżonej kępami suchych traw. Po lewej rozciągał się las, szumiący, gęsty, ale wciąż przejrzysty, jakby widziany w promieniach rentgena. Dzięki temu Andrzej sięgał wzrokiem niesłychanie daleko. Usłyszał plusk wody. Zbliżał się do rzeki. Płynęła po niej wolno wąska łódź o podniesionym dziobie. Na łodzi siedział jeden człowiek - starzec, który przypominał jego ojca. Nie wiosłował, nie sterował, ale łódź posuwała się sama niesiona prądem. Rzeka rozlewała się w niezliczone odnogi i mokradła. Drzewa porastające brzegi spletały się ze sobą. Nad powierzchnią wody unosiły się tysiące drobnych owadów. Łódź zniknęła za zakrętem rzeki.

Andrzej stał oparty o pień brzozy. Dostrzegł, że jej kora pokryta jest ręcznym pismem, ciągnącym się w dół aż do ziemi. Czytając okrażał drzewa coraz niżej a wreszcie już na czworaka. Z twarzą bliską korzeni, poczuł senność i ułożył się w trawie. Brzozowy las wokół niego był cichy. Pluskała tylko woda. Pnie wszystkich drzew jak okiem sięgnąć pokrywało drobne, ręczne pismo. Powoli nadpłynęła mgła i wszystko w niej zniknęło.

KONIEC